

Hysteria

**Zmierzch
Avonou**

(sir) Emil Gieras



Graphics by gloomy

Hysteria is everywhere

Zmierzch Avonou

(sir)Emil Gieras

Rozdział 1

Partycja Yorna ubijaka

– Stójże! – wrzasnął konny ziejący bimbrem. Mnich zatrzymał się i nie wychylając twarzy zza bordowego kaptura odparł:

– Czegoż to chcecie, mości panie, od prostego mnicha?

– Pachu zostaw go. To mnich Avonou. Lepiej z nim nie zadzierać! – krzyknął następny, podjeżdżający właśnie jeździec.

– Jego klasztor jak i cały Avonou nie jest teraz wart nawet funta kłaków! – ryknął ziejący bimbrem Pach i teatralnie odwrócił się w siodle w stronę południa.

Mnich nie wykonał najmniejszego ruchu, nie podążył wzrokiem za spojrzeniem konnego.

Nie musiał. Wiedział, że gdyby to zrobił zobaczyłby zielone pastwiska El Arha, tchnące spokojem wzgórze Uru i ciemną linię Dendrowego Lasu, a za nią pnące się ku górze niczym ohydne macki słupy czarnego dymu. Avonou płonął.

– Avonou, wielkie, potężne królestwo, a padło po tygodniu pod naporem Scherifa! – rzekł towarzysz Pacha patrząc w stronę dogasających już chyba miast. Sam Pach chyba także się zadumał. Nie ruszał się. Milczał. Może spał. Mnich nie miał zamiaru czekać aż się ocknie. Pach śmierdział nie tylko bimbrem, ale i kłopotami. Był jednym ze zdemoralizowanych żołdaków z rozbitych armii państweczek, które już dawno uległo potędze Scherifa. Dezerterzy, obiboki, zwykli tchórze. Teraz łączyli się w mniejsze lub większe drużyny i grasowali na traktach i gościńcach czyhając na kupców i podróżnych. Bez wątpienia Pach śmierdział nie tylko bimbrem.

– Pachu śpisz? Paweł! – krzyknął jego znajomek, gdy skończył rozmyślać o wielkiej, upadłej potędze Avonou. Pachu burknął coś w odpowiedzi i bezwiednie się osmarkał.

– Za dużo tego hekijskiego specyfiku. Uchłał się jak dzika świnia. Niech śpi. Koń go nie zrzuci, a ty mnichu lepiej tu się nie pałętaj, bo... – znajomek Pacha przerwał w pół zdania, gdy odwrócił się w stronę mnicha.

– Oż ty psi synu! – syknął.

Mnicha już tam nie było.

– Ze Zbycha chciało ci się żartować?! Ze Zbycha i karmazynowej drużyny!?! Paweł budź się! – zawył znajomek Pacha niczym zarzynane prosię i kuksańcem w bok przyjaciela próbował przywrócić go do stanu bardziej przydatnego. Pach zagulgotał niczym dojrzały indor, osmarkał się jeszcze bardziej, po czym zwałił się na ziemię.

– Niech cię zaraza! Wstawaj! – kwiczał dalej Zbych. Był przeciwko zarzynaniu wszelkich duchownych – zazwyczaj niezamożnych, a szczególnie mnichów – wojowników Avonou, o których krążyły różne historie, najczęściej kończące się krwawą rzezią. Nie lubił jednak, gdy ktoś go lekceważył. Odbierał to jako obelgę i poniżenie.

– Wstawaj ty popaprańcu jeden, bo ci wyrwę to, czym lubisz się przed dzierlatkami chwalić!! – wrzasnął w końcu najgłośniejszym jak umiał, aż żyła wystąpiła mu na czoło.

– Ta jest! – usłyszał w odpowiedzi, a po chwili zobaczył prawie równo stojącego, prawie przytomnego Pacha.

– Na koń i za mną!

– Ta jest!

– Nie może być daleko!

– Ta jest!

– Prędszej! W galop!

– Ta jest!

– Nie może nam psi syn uciec!

– Ta jest!

– Nie będzie się z nas naigrywał!

– Ta... Ale kto?!

* * *

Karczma była ledwo stojącą rudera, która z trudem utrzymywała ciężar pokrytego strzechą dachu. Sprawiała raczej wrażenie niewielkiej stodoły w pańszczyźnianym gospodarstwie niż miejsca gdzie można się napić, najeść i odpocząć. Czarne dechy, z których była zbudowana wyglądały jak wtórnie użyte po jakimś pożarze, co potęgowało niepokój, jakoby dach miał zawalić się gościom na głowy. Mimo to w środku było dość tłoczno i Zygfyrd z trudem wypatrzył wolne miejsce dla siebie – w samym rogu karczmy przy wielkiej dębowej ławie.

– Można? – spytał siedzących przy niej koneserów piwa.

– A siadajcie mości mnichu. Siadajcie! – odparł długobrody, krzepki krasnolud i beknął donośnie. Reszta towarzystwa zawtórowała mu gromkim śmiechem. Zygfyrd nie zważając na to usadowił się na pustym zydlu i gestem ręki przywołał do siebie karczmarza. Był nim dobrze zbudowany, pucułowaty, kędzierzawy niziołek o ogromnym jak na swoją przynależność rasową wzroście dwóch łokci.

– Niech będą pochwaleni bogowie Avonou. Czym mogę służyć? – wysapał, gdy znalazł się przy mnichu.

– Jak to, czym?! Kuflem piwa! Tylko to w tej zapchlonej dziurze nada się do przełknięcia! – powiedział czy raczej wybekał krasnolud ku ogólnemu rozbawieniu współkoneserów.

Niziołek nie zaszczycił go komentarzem. W skupieniu patrzył na zakapturzonego Zygfyryda, dając do zrozumienia tym samym, iż w tej chwili obchodzi go tylko on.

– Niech będzie. Do tego jakiegoś gorące mięsiwo. Wam mości karczmarzu zostawiam wybór.

– Udziec barani po yelmeńsku i browar – powiedział właściciel przybytku pcheł pisząc coś jednocześnie w swoim małym kajecie, zgiął się w głębokim ukłonie i po chwili zniknął w drzwiach za barem.

– Udziec barani! – rzekł z pogardą krasnolud tym razem już normalnie artykułując słowa. – Kawalek nędznego mięska, którego szukać będziesz musiał w zwałach tłuszczu, mości mnichu, a to wszystko oblane wodną poliwką z odrobiną soli, pieprzu i gorczycy!

– Może w Yelmenii uchodzi to za przysmak – rzucił Zygryd i począł oswobadzać się z rzemieni podtrzymujących jego podróżną szkatułkę na swoim miejscu – w okolicach lewej nerki.

– Ha! Yelmeńczycy to chwastożuje! Założę się, że barana na oczy nawet nie widzieli! Ten kurdupel bazarzem powinien zostać, a nie strawą się zajmować. Psia jego mać! – krasnolud przerwał chwalić się znajomością yelmeńskiej fauny i zwyczajów żywieniowych. Zrobił efektowną pauzę wybałuszając przy tym gały na mnicha, który właśnie skończył walkę z supłami i podsuwał swą szkatułkę pod zydel.

– Mości mnichu, jeśli przyszło nam razem wieczerzać powinniśmy się sobie przedstawić – powiedział małolud zauważwszy, że ta efektowna pauza nie zrobiła na przybyszu najmniejszego wrażenia. – Jam jest Yorn syn Erna profesji ubijak, a to moja partyja.

– Aya z Bobrzego Lasu – przedstawiła się młoda dziewczyna siedząca po lewej stronie mnicha.

– Asaj. Także stamtąd – powiedział siedzący obok niej chłopak.

– Lijon ek Aka – wywarczał siedzący po prawicy Yorna, pokryty gęstą sierścią kobold.

– A ten tam śpiący jegomość to syn mój marnotrawny, Worn – dodał Yorn nie kryjąc wstydu i zażenowania i wskazał na młodego, trzydziesto, może czterdziestoletniego krasnoluda śpiącego w rogu ławy. Zygryd przez chwilę zastanawiał się czy tylko słaby łeb młodego był przyczyną wstydu jego ojca. Z rozdziawionej gęby i ubrudzonej, żółtkiem chyba, brody wynikało, że nie. Wyglądał po prostu na mało rozgarniętego; w przeciwieństwie do reszty partyji. W szczególności para z Bobrzego Lasu tryskała młodzieńczą bystrością i werwą. Podobną witalność zachował również starszy krasnolud, co z resztą nie było niczym dziwnym. Dziwnym zaś był fakt, że kobold wbrew swej naturze sprawiał wrażenie spokojnego, opanowanego, ba, myśliciela nawet.

– Zygryd de Valley. Mnich Najświętszego Mesjasza, syna Pana naszego Oriego, wyklętego i zapomnianego oraz klasztoru jego stojącego na świętych górach w świętym kraju Avonou – wyrecytował mnich przedstawiając się z odrobiną przesady. Ale w końcu to im się zachciało przedstawiać.

– Kto zapamiętał? – spytała Aya uśmiechając się ładnie.

– O ile wiem Avonou już nie istnieje – bąknął kobold Lijon. Mnich odruchowo zacisnął zęby i pięści. Nie skomentował, przesywając jedynie psoluda piorunującym spojrzeniem. Kobold wytrzymał to spojrzenie i jakby nigdy nic łyknął piwa z cynkowego kuffa.

– Ach Lijon ty to umiesz do siebie ludzi zrażać – zauważył Yorn i uśmiechnął się szeroko w stronę mnicha próbując rozładować powstałe napięcie. Każdy, kto choć raz w życiu widział szczerzącego zęby krasnoluda wie, że musiało mu się to udać. Zygryd uśmiechnął się mimowolnie.

– Proszę mości mnichu! – wysapał niziołek, który właśnie podszedł i ustawił przy Zygrydzie kufel z piwem i półmisek z parującym daniem. Mnich spojrział na oberżystę pytająco. Ten spojrział na mnicha podobnie przybierając do tego idiotyczny wyraz twarzy.

– Sztuće! – rzucił Zygryd nie wytrzymując. W odpowiedzi karczmarz uśmiechnął się prawie niewidocznie nabierając przy tym dużą ilość powietrza; czynność ta miała zapewne uchronić go przed nagłym wybuchem śmiechu. Podobnych oporów nie miał krasnolud, który ze śmiechu aż się popłakał.

– Tak wymyślnych przedmiotów u mnie nie znajdziesz – powiedział, starając się utrzymać powagę, niziołek.

– W takim razie to wszystko! – rzucił nerwowo mnich czując jak gorący rumieniec wypływa na jego lica.

– No już idźże się wyśmiej w kuchni mości niziołku, a gdy będziesz wracał dolej nam piwa, bo już dno z pod trunku wyziera – powiedział Asaj najmniej rozbawiony fanaberią mnicha. Oberżysta zgiął się w pół i szybko odszedł.

– Przynies jeszcze z dziesięć funtów tego żółtego sera! – dodała Aya zanim karczmarz zniknął za drzwiami. Zygryd nadal speszony spojrział na to, co znajdowało się przed nim. Na cynkowym półmisku leżała bezkształtna galareta poprzecinana pasami tłuszczu i, gdzie niegdzie, mięsa. Z tej dziwnej galarety wystawała kość – jedna całkiem goła kość, która nie przypominała żadnej znanej Zygrydowi kości. Mnich przypuszczał nawet, że owa kość została brutalnie wbita w jego posiłek. „Nigdy nie będę się stołował w Yelmenii” – pomyślał sięgając do półmiska.

Zawahał się. Popatrzył. Pomyślał. Sięgnął po kufel. Piwo było nienajgorsze, choć równać się z browarami klasztornymi absolutnie nie mogło.

– Wybacz mi Zygrydzie. Nie śmiałem się z twoich obyczajów, lecz z naiwności – powiedział krasnolud z trudem łapiąc oddech. – Ta dziura nie ma nawet swej nazwy, a ty oczekiwałeś tu sztuc... sztuc... Psiakrew. Sam wiesz, czego oczekiwałeś.

– Sztućców. Oczekiwałem sztućców.

– Tak właśnie. Przecież wiesz sam o tym najlepiej mości Zygrydzie z Avonou, że wojna zbliża się i tu. Kupcy i małe prywatne inicjaty uciekają stąd tak prędko, że czasami nawet widać ich jak samych gaciach zakurzają a czasami nawet i bez gaci, byle ze swoim interesem – krasnolud przerwał dopijając piwa i podśmiechując z cicha zdając sobie sprawę z dwuznaczności swojej ostatniej wypowiedzi. Aya zachichotała mu do wtóru.

– Dalej gospodarzu. W try migi z tą beczułką tu! – zaryczał Asaj z Bobrzego Lasu. Niziołek klnąc pod nosem przybiegł, nalał piwa, postawił talerz z serem i mamrocząc coś typu: „chyba się nie rozdwoję”, ruszył do następnego, jakiegoś rozwydrzonego klienta. Zygryd pił piwo patrząc cały czas na swoje główne danie. To pomagało – im dłużej na nie patrzył tym robił się mniej głodny.

– A mówiłem! – rzucił Yorn, napił się piwa, beknął donośnie i zaczął kontynuować swój wywód: – Jakem mówił i jak dobrze wiecie mości mnichu wojna idzie i wszyscy stąd przyskają. Ta obora zwana przez niektórych oberżą, karczma, a nawet tawerną...

– Przez ułomnych chyba! – wtrąciła dziewczyna.

– ...jest jedynym miejscem w promieniu ośmiu mil, gdzie można coś pojeść i popić. Konkurencyji w ogóle nie ma. Ten kurdupel może robić, co mu się w tej pustej makówce uroi, a i tak będzie miał klijentele. Konkurencyji nie ma i tyle. Tyś zaś sztuc... sztuc...

– Sztućców.

– Tak właśnie. A tyś sztuc... oczekiwał? – skończył w końcu długobrody krasnolud chowając twarz w kuflu i drgając dziwnie. Zygryd miał nieprzyjemne uczucie, iż mimo zapewnień długobrodego, śmiał się on jednak nie z naiwności, a obyczajowości mnicha. Przez chwilę pili i jedli (Zygryd tylko pił) w milczeniu, nie licząc dźwięków, jakie wydawał z siebie Yorn, spazmatycznie, choć dyskretnie łapiąc powietrze i chichrając do piwa.

– Wiele jest historii o mnichach – wojownikach Avonou – przerwała milczenie Aya.

– O ich bronii! – dodał nagle podekscytowany Asaj.

– Zawrzyj gębę młokosie! – warknęła Lijon ek Aka. – Bo któregoś dnia twoja ciekawość cię zabije – dodał i pokłonił się w stronę mnicha. Przepraszająco rzecz jasna.

– Nic się nie stało! – rzucił Zygryd, uśmiechnął się przyjemnie i postawił kufel na ławie. Cała partycja Yorna ubijaka wlepiła w niego swe ślepie – nawet Worn uniósł jedną, zapewne bardzo ciężką, powiekę. Avonouńczyk wyczekał chwilę, po czym zaczął podwijać bardzo długie i szerokie rękawy swego habitu – wcześniej jego dłonie były także schowane, a kufel chwycił przez jedwabisty materiał.

Wytrzeszczone gały współbiedniaków wytrzeszczyły się jeszcze bardziej, a wiecznie otwarta gęba Worna zamknęła się z płaskiem.

– Oż cholera! – jęknął Asaj, gdy rękawy zostały podwinięte do łokci.

– O bogowie! – prawie zapiszczała Aya. Lijon szczeknął coś niezrozumiałego. Worn wydobył z siebie jakieś „yg” i podniósł swą kwadratową łepetynę z nad blatu. Najmniej podekscytowany tym, co zobaczył był Yorn, który chyba nadal się z czegoś podśmiechiwał; a zobaczył dwie elipsoidy – jedną na każdej ręce, sięgające od połowy przedramienia do koniuszków palców – na wierzchniej stronie. Od strony wewnętrznej ucinają się przy nadgarstkach. Ręce mnicha tkwiły w nich poniżej pionowej osi symetrii. Jak? Nikt z oglądających nie mógł wykoncypować. Nie widzieli żadnych klamer, żadnych pasów, linii łączy.

– To czary! – bąknął chłopak z Bobrzego Lasu.

– Armaneid! – rzucił kobold patrząc w głąbie granatu mistycznego metalu, z którego zostały wykonane elipsoidy.

– Tak. To czary. To armaneid – odparł krótko Zygryd zawstydzony tym, że poczuł się jak małe dziecko chwalące się nową, fantastyczną zabawką. Nagle został zasypany dziesiątkami pytań Ayi, Asaja, Lijona i Worna, który w ogóle nie wyglądał na zdziwionego tym, że naprzeciwko niego siedzi zupełnie obcy mu mnich. Avonouńczyk nie słyszał lub nie rozumiał większości pytań w powstałym rozgardiaszu. Mógł jednak domyśleć się, czego owe pytania dotyczą.

Uniósł lewą rękę dając tym samym znać, że pragnie ciszy. Poskutkowało natychmiast. Jedynie starszy krasnolud śmiał się nadal półgębkiem, co, nomen omen, zaczynało już wszystkich irytować.

– Wybacz mości Asaju z Bobrzego Lasu, lecz o klasztornych czarach prawić mi nie wolno. Natomiast, co do kruszcza, mości Lijonie ek Aka, to faktycznie, jak już z resztą mówiłem jest to armaneid – złoto przeklętego. Wydobyte z Gór Sowich przez krasnoludzkich górników w zamierzonych czasach, w których to co starsi ludzie pamiętali jeszcze stąpających po ziemi bogów. Samą broń wykonywały elfy na zamówienie najświętszego klasztoru Avonou. Do dziś zachowało się jedynie pięć kompletów tejże broni.

Skończył i ponownie poczuł się jak jakiś zasmarkany gówniarz.

– Już?! – rzuciła Aya nie kryjąc rozczarowania tym, że mnich bardzo streścił historię swej przedziwnej broni. – Jak się ta broń nazywa?

– Jak ona w ogóle działa? – spytał Asaj z wypiekami na twarzy. Zygryd przepłukał gardło piwem poczym uniósł prawą rękę tak by wszyscy dobrze widzieli.

– Cała broń nazywa się Kear Mai, czyli po prostu Święta Broń. Ostrza. . .

Gdy to mówił z elipsoidy z cichym zgrzytem czy raczej sykiem wysunęły się na dwa cale cztery haczykowate ostrza. Tuż nad dłonią.

– . . . nazywają się Kane ep Kear Nare, czyli Szpony Świętego Ptaka.

– Łał! – jęknęli wszyscy młodzi plus kobold. Yorn sprawiał wrażenie nadal czymś być rozba-
wiony i zupełnie nie przejmował się pokazem.

– Korpus natomiast, z którego wychodzą ostrza – kontynuował mnich po łyku piwa – nazywa się Esene. Hm... We wspólnej mowie brzmi to trochę śmiesznie...

– Ja wiem! Ja wiem! – wrzasnął Yorn. Zygryd spojrział na niego ze zdziwieniem i podziwem.

– Słucham cię mości krasnoludzie – powiedział mnich. Musiał. Inaczej krasnolud by chyba pękł. Tak przynajmniej wyglądał.

– Sztuće! – ryknął tamten wybuchając jednocześnie eksplozją gromkiego śmiechu. Zygryd nie był pewien czy krasnolud śmiał się z prośby, jaką mnich wystosował wcześniej do karczmarza czy może radował się z faktu, iż w końcu udało mu się wymówić tak ciężkie do wyartykułowania słowo.

Chyba to pierwsze.

– Wypluwajki – powiedział Zygryd nie przejmując się zupełnie Yornem; widząc, że nikt z partyji się nim również nie przejmuje.

– Głupio – stwierdziła Aya krzywiąc się przy tym jakoś dziwnie. Dziwne było także to, że właśnie w tej chwili mnich uświadomił sobie jej piękno. Wspaniałe, ogromne zielone oczy kontrastowały z malutkim noskiem i malutkimi, choć pełnymi usteczkami przypominającymi kształtem małe, czerwone serduszko. Urodę jej podkreślały obcięte na pazia blond włosy. Zygryd przez długi czas nie mógł oderwać oczu od jej cudownie delikatnej twarzy. W końcu oderwał. Wzrok. Od twarzy. Przeniósł go na piersi. Duże, kształtne, jędrne piersi miażdżone bezwzględnie przez obcisłą, skórzaną kamizelkę.

„Pieprzony celibat” – pomyślał odruchowo przełykając przy tym głośno ślinę. Bardzo głośno.

– Coś się stało? – spytała zatroskana dziewczyna.

– Nie! Nic! – wyjąkał mnich i począł nerwowo chować Kear Mai – swoją broń, jak i dłonie w obszernych rękawach habitu.

– Wpadłaś mu w oko Sikoreczko! – zdemaskował brutalną prawdę Yorn i zarechotał głucho. Mnich myślał, że zapadnie się pod ziemię. Aya zaróżowiła się i zatrzepotała zalotnie rzęsami.

Asaj przeszył Avonouńczyka lodowatym spojrzeniem.

– Gospodarzu! Trunku dolej! – ryknął Lijon przerywając ciszę, jaka zapanowała po wypowiedzi krasnoluda. (Cisza oczywiście nie dotyczyła tego ostatniego, który śmiał się w najlepsze)

Chwilę później wszystkie kufle były na powrót pełne, lecz konwersacja na powrót nie ożyła. Partyja ubijaka Yorna piła piwo, zajadała się serem, który przez dłuższy czas tylko bezczynnie leżał. Zygryd też miał zamiar skosztować swój posiłek, ale wystarczyło jedno spojrzenie nań i chciało już mu się tylko rzygać.

Z braku lepszej roboty sączył powoli browar i rozglądał się po sali. Oberża z wewnątrz prezentowała się nieco lepiej niż z zewnątrz, ale tylko nieco. Przede wszystkim nie sprawiała już wrażenia, że w każdej chwili może runąć. Ściany ozdobione były ciemną (acz jaśniejszą niż deski na zewnątrz) boazerią, która – jest to całkiem prawdopodobne – sprawowała również funkcję wzmacniającą i ocieplającą. Gdzieś tam przymocowane były ciemne lśniące od brudu ryciny przedstawiające walczące z żywiołem, a czasami i z morskimi stworami, okręty. Może dla tego co mniej rozgarnięci nazywali oberżę tawerną, a może kiedyś (bardzo dawno temu) była to, albo miała być nazwa własna tego miejsca. Teraz jednak raczej nikt tak o tym miejscu nie mówił, a goście chyba rzadko zerkali na błękitne fale wdzierające się na rozbujałe pokłady, w czym na pewno nie pomagały zaledwie cztery migoczące kinkiety. Zygryd przeniósł swój wzrok na uzbrojenie wiszące na hakach na ścianie tuż nad ławą, przy której siedzieli. Znajdowały się tam –

najprawdopodobniej należące do krasnoludów – dwa topory wojenne – jeden jednosieczny, jeden dwusieczny; dwie nieduże, owalne tarcze i dwa niemal identyczne szyszaki. Oprócz sprzętu typowo krasnoludzkiego wisiały tam jeszcze dwa miecze – jeden długi, trzyłokciowy, oburęczny; drugi krótki, jednołokciowy, jednoręczny jak także skórzana czapa nabijana blachą i sybijski składany łuk bojowy wraz z kołczanem pełnym strzał o kolorowych lotkach.

„Zapewne Ayi” – pomyślał mnich zerkając na nią ukradkiem. Ich wzrok się spotkał. Sikoreczka zachichotała. Zygfyrd poczerwieniał ponownie.

„Do tego mnie ojcuzkowie nie przygotowali” – myślał. – „Do tego nie.”

Jego myśli przerwał nagły harmider, jaki powstał na zewnątrz. Ludzie krzyczeli, siarczyście bluźnili; konie tupały kopytami, rżały. Zygfyrd domyślał się, że to Pach i jego kumple, grasanci. Nie był pewien czy przybyli tu specjalnie do niego i czy w ogóle Pach lub ten drugi go pamiętają. Miał nadzieję, że nie.

Nie chciał ich wszystkich zabić.

* * *

– A Kear Ori puter em et mainadase. A Neidus keler emi em parase – recytował mnich stojąc z wyciągniętymi ramionami jak do przysiadu i ze skrzyżowanymi Szponami Świętego Ptaka.

Zakapturzoną głowę miał spuszczoną jakby podziwiał stan swoich sandałów. Oczy miał zamknięte.

– Co jest Zygfyrd?! – wrzasnął Yorn błyskawicznie sięgając swoje uzbrojenie. Zygfyrd nie zareagował. W ogóle nie interesował się zamieszaniem, jakie wokół niego powstało. Jedyną reakcją mnicha po tym jak drzwi do karczmy otworzyły się z hukiem było przybranie dziwnej pozy i mamrotanie coś pod nosem. Zdawałoby się, że nie słyszał jak jakiś przepity głos bełkotał coś o zabiciu dwóch ptaszków jednym kamykiem, jak partyja ubijaka z ubijakiem na czele rzucają wszystkie znane im chyba przekleństwa i groźby, czy w końcu jak karczmarz niziołek skrzeczy: – Na zewnątrz! Panowie na zewnątrz!

– Ems ne be garhard. Barud ems – mówił dalej mnich. – Kear Vassnes primi do.

W końcu skończył. Stał normalnie. Otworzył oczy. W drzwiach ujrzał śmiejących się szyderczo Zbycha i Pacha. Nie zdziwiło go to. Zdziwił go natomiast stan jego współbiesiadników – w pełnym rynsztunku.

„Drugi ptaszek” – domyślił się Avonouńczyk, lecz zdziwienie nie opadło – łuk bojowy należał do Asaja, miecz oburęczny zaś do Ayi.

– Co to miało być? – spytała dziewczyna.

– Pozycja Rej i modlitwa za umarłych. Przyszłych umarłych – odparł grobowym głosem pytany.

– Na zewnątrz. Panowie na zewnątrz! – wysapał właściciel oberży podchodząc do Yorna.

– Chodźmy! – stwierdził krasnolud ruszając w stronę wyjścia.

– Ciebie chyba to też dotyczy mości mnichu – dodał Lijon podążając za swym przywódcą.

– Ano – bąknął mnich i ruszył za partyją. Zbych i Pach wyszli tyłem uśmiechając się paskudnie.

Mijani goście oberży – głównie ludzie i niziołki – zapewne informatorzy i szpiedzy handlowi, zbierający informacje o wojnie na południu milczeli, zachodząc w głowę, co tam im w piwie pływa.

* * *

Wyszli. Zmierzchało.

Gwiazda poranna śmignęła bez ostrzeżenia.

Yorn w ostatniej chwili zasłonił się tarczą. Kolce gwiazdy wbiły się w nią z trzaskiem. Krasnolud aż przysiadł. Worn wrzasnął i sieknął toporem na odlew. Oprych, który przed chwilą zaatakował starszego krasnoluda leżał teraz martwy z rozplataną twarzą – od szczęki aż po czoło. Z drugiej strony rzucił się drugi celując oberżniętą lancą w plecy Worna. Brzęknęła cięciwa. Strzała o kolorowych lotkach utkwiała w oczodole napastnika – jęknął przeciągle, po czym runął na ziemię farbując ją bardzo szybko na czerwono. Nikt przez chwilę nie atakował.

Konie zarżały dziko. Nagle z ciemności wychynęły sylwetki ośmiu konnych z Pachem i Zbychem na czele. Pędzili w ich stronę szerokim łukiem. Partycja ubijaka instynktownie uformowała się w krzyż, w centrum, którego znajdował się chłopak z Bobrzego Lasu. Reszta zastawiała go swymi plecami – z przodu Yorn, z tyłu Worn, z lewej Aya, a z prawej Lijon.

Wszyscy wywijali odstraszająco swoją bronią. Zygfyrd stanął za Wornem w skupieniu przyglądając się nadjeżdżającym. Asaj podniósł łuk do twarzy. Wycelował. Wystrzelił.

Jeden z jeźdźców zwałił się bezgłośnie z konia. Nie przerwało to szarży jego kompanów, którzy byli jakieś dziesięć łokci przed krzyżem.

Gdy już obie drużyny miały poczęstować się swym żelastwem nagle coś w powietrzu zafurkotało. Asaj pozwolił sobie na zerknięcie w górę.

– Oż ty mnichu chędożony! – jęknął widząc lecącego nad nimi w szaleńczym skoku Zygfyda. Szerokie szaty łomotały. Szpony skrzyły się złowrogo.

Chwilę później zapanował chaos. Konie rżały przeraźliwie. Ich jeźdźcy kwiczeli. Asaj i jego koledzy rozpierzchli się by uniknąć stratowania; Yorn bluźnił przy tym okrutnie.

– Co jest, do kurwy nędzy?! – wrzeszczał Pach próbując opanować swojego karego ogiera stojącego dęba.

– Dobrze gada! – zauważył Lijon, gdy cała partycja zbiła się w kupę kilkanaście jardów dalej.

– Ki diabeł? – burknęła Aya patrząc na groteskowe przedstawienie toczące się przed jej oczyma. Widziała jak postać w bordowym habicie skacze z jednego wierzchowca na drugi, wymachuje rękoma, odbija się i hula na następne zwierze; czasami tak szybko, że nie sposób było można dostrzec gdzie owa postać się znajduje. Wtedy można było słuchać tylko wrzasku ludzi, chrapania koni, powietrza świszczącego między ostrzami Kear Mai i dźwięków, jakie ludzkie mięśnia, ścięgna, kości wydają z siebie, gdy przecina je i szarpie zimny metal. Czasami, ale tylko czasami słychać było jęk konających.

Postać w bordowym habicie zdążyła dotknąć stopą siwej sierści klaczy. Grasant jeżdżący na niej chciał coś zrobić. Nie zdążył jednak nawet krzyknąć, pomyśleć, a wisiał już bezwładnie z boku klaczy z nogą uczeponą w strzemieniu. Mnich wyczekał jeszcze ułamek sekundy zanim cały ciężar ciała przeniósł się na postawioną na klaczy nogę i wyskoczył w stronę kolejnego konia. Wylądował, tym razem na obydwu nogach, na zadzie czarnego ogiera. Jeździec, którym okazał się być Pach, błyskawicznie obrócił się w siodle i zamachnął się toporem.

Mnich ciął od dołu. Topór wraz z przedramieniem upadł na ziemię. Konny wrzasnął przeraźliwie, lecz bardzo krótko, bo haczykowane ostrza bardzo szybko wyrwały mu krtań. Pach zacharczał jeszcze i zsunął się z konia. Zygfyrd zeskoczył chwilę później.

– Jeszcze trzech – rzucił rozglądając się po pobojowisku. Był sam, nie licząc Yorna i jego drużyny, którzy stali ładny kawałek dalej. Na około niego, w promieniu kilku łokci leżały trupy, a raczej krwawa miazga powstała po mnisiej broni i kopytach oszalałych koni. Zwierzęta uciekły.

„Powinno być jeszcze trzech” – myślał Zygfryd. – „Trzech, których zrzuciły własne wierzchołki.” Jak na zawołanie ktoś za nim dziko zawył. Odwrócił się nie śpiesznie.

Dostrzegł dwóch oprychów biegnących w jego stronę. Jeden wywijał nad głową gwiazdą poranną, drugi – oburęcznym mieczem.

Stał spokojnie pochylając lekko głowę jak w dystyngowanym ukłonie; z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała.

– Wiem, że da sobie radę, ale nie mogę się tak beczynnie gapić! – powiedział Asaj unosząc i napinając bojowy łuk.

– Ostaw! – syknął Yorn. Chłopak z Bobrzego Lasu jednak nie usłuchał swego herszta i puścił napiętą cięciwę. Strzała pomknęła przed siebie by mrugnięcie powieki później przebić na wylot łeb grasanta – tego z gwiazdą. Drugi biegł dalej nie wzruszony. Zygfryd nie drgnął. Wyczekiwał. Gdy napastnik był już prawie w zasięgu ręki i gdy już szykował się do zadania ciosu Avonouńczyk wykonał jeden wyuczony ruch.

– Pozycja Rej! – wrzasnęła zdumiona Aya widząc, do czego oprócz modlitwy służy. Ręce oprycha wraz z wielkim mieczem oraz jego głowa szybowały teraz właśnie nad pochyloną głową i kapturem mnicha. Bezgłowe ciało runęło tuż u jego stóp. Skrzyżowane, zakrwawione Szpony Świętego Ptaka trwały przez chwilę w bezruchu. Zygfryda przeszły dreszcze. Czuł jak gorąca jucha spływa po jego twarzy; czuł jej smak.

– Chodźmy do niego! – rzucił Asaj i nie czekając na jakąś reakcję Yorna podążył w stronę stojącego mnicha. Krasnolud nie powstrzymywał go, a po chwili sam, wraz z resztą partycji poszedł za chłopakiem.

– Wybacz, że nie poszliśmy ci w sukurs, ale miałem wrażenie, że pałętając się na polu walki prędzej ci zaszkodzimy niż pomożemy – powiedział krasnolud profesji ubijak, gdy wszyscy podeszli już do Avonouńczyka.

– Masz racje! – odparł zimno Zygfryd. Nie odwracał się do nich. Stał nieruchomo.

– Trochę też się cię wystraszyłem! – rzekła szczerze Aya.

– Czy wszyscy mnisi tak walczą? – spytał jej towarzysz z Bobrzego Lasu.

– Tylko niektórzy – odparł pytany. Otarł twarz szerokim rękawem habitu i odwrócił się do swych rozmówców. – Mości Yornie potrzebuję waszej pomocy – rzucił – chodzi o to, że został jeszcze jeden. Muszę go znaleźć, a zaraz po tym wynieść się stąd. Czy mógłbyś mości krasnoludzie wziąć z karczmy moją szkatułę i uregulować należność? Oddam. Tylko go poszukam.

– Służę pomocą mości mnichu – odparł Yorn. – Choć pojęcia nie mam, po co ci tego skurwysyna ścigać!

– Ja mam pojęcie, a raczej przecucie. Złe przecucie.

– Twoja wola mości Zygfrydzie, czy mogę jednak spytać, dokąd dalej podążasz?

– Do Molchia. A co?!

– My do Belerza. To po drodze! Możemy się z waszmością zabrać? Podróż będzie bezpieczniejsza dla nas, a dla was mości mnichu weselsza.

– Nie widzę przeszkód. Zaraz wracam. Szykujcie się do drogi. Aha, weź dla mnie jeszcze dwa funty tego sera, którym się zajadaliście. Strasznie zgłodniałem.

– Dobrze. Spotkamy się niedługo. Powodzenia – to powiedziawszy krasnolud obkręcił się na pięcie i zaczął swoim komenderować: – Asaj! Przeleć po ścierwach! Aya! Spróbuj znaleźć konie; może daleko nie uciekły! Worn! Wyjmij tą cholerną gwiazdę z mojej tarczy! Lijon! Ze mną!

Zygfyrd w tym czasie pokonał już kilkadziesiąt jardów, zatrzymał się i czekał. Wiedział, że nie musi szukać tego skurwysyna. To skurwysyn znajdzie jego. Miał przynajmniej takie nieprzyjemne wrażenie.

* * *

Wróg zaatakował zniemacka. Zygfyrd nie zdążył zareagować. Nawet go nie widział. Dostrzegł tylko zimny błysk, po czym kula energii uderzyła w niego z pełnym impetem. Poleciał cztery łokcie dalej. Upadł. Milczał. Ból był do wytrzymania. Wstał szybko i rozejrzał się wokół siebie. Nic nie widział. Zmierzchało coraz szybciej.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął. W odpowiedzi ujrzał kolejną kulę światła pędzącą w jego kierunku. Tym razem bez problemu uskoczył.

– Myślałeś, że ci się upiecze?! – usłyszał ze strony, z której przyleciał pocisk. Mnich od razu poznał głos Zbycha.

– Nie liczyłem na to! – odparł ruszając w kierunku, z którego dochodził go głos.

– Myślałeś, że jak długo dałem ci spokój to o tobie zapomniałem?!

Głos był coraz bliżej, lecz Zygfyrd nadal nic nie widział.

– Szczerze mówiąc tak myślałem!

– Ha! Nie musiałem się spieszyć! Wiedziałem, że będziesz w tej tawernie. W okolicy nie ma innej!

– Bystryś!

Avonouńczyk nadal nie mógł dostrzec swojego przeciwnika, a i zaczął mieć problemy z lokalizacją miejsca, z którego dochodził go głos. Nagle poczuł wibracje powietrza. Nie zdążył paść na ziemię. Świetlisty pocisk uderzył w kręgosłup ze zdwojoną siłą. Tym razem ból rozpromienił się po organizmie chyba wszystkimi nerwami. Zygfyrd jęknął krótko, ale nie stracił nawet równowagi i obrócił się błyskawicznie o sto osiemdziesiąt stopni; w sam raz po to by zrobić unik przed kolejną pędzącą kulą energii.

Minęła go o włos.

– Dobry jesteś! – usłyszał mnich. – W końcu jednak tak cię przypieczę, że będziesz marzył o tym bym cię dobił! – mówił dalej Zbych.

Zygfyrd nie zwracał na to uwagi. Wiedział, że ludzie tacy jak jego przeciwnik magią się nie parają, a miotane przez niego pociski były magiczne bez wątpienia. Najprawdopodobniej krył go także magiczny kamuflaż.

”Musisz mieć medalion albo pierścień” – myślał Avonouńczyk – „Pewnie nawet nie wiesz jak łatwo cię namierzyć. Wystarczy, że dasz mi chwilę spokoju bym mógł się skupić...”

– Wiesz co? Coś ci powiem. Uważam, że te historyjki o was, mnichach – wojownikach są zmyślane przez was samych. Głupi byłem, że w nie wierzyłem. Teraz jednak widzę, że prawdy w tym nie ma ani krzty. Stoisz na środku pola bez ruchu. Nawet nie próbujesz mnie znaleźć, nawet nie próbujesz walczyć. Założę się, że już obsrałeś sobie... to coś i modlisz się do swego zasranego bóstwa by cię ocalił, lecz on cię nie ocali – powiedziawszy to Zbych roześmiał się tryumfalnie. Zygfyrd słuchał go ze spokojem jedynie od czasu do czasu uśmiechając się mimowolnie.

Nie był to przyjemny uśmiech. Już od dłuższego czasu widział swego przeciwnika – grasanta, krążącego wokół niego w odległości pięciu jardów. Spowijała go jasna, magiczna poświata, która w oczach mnicha zamiast maskować wskazywała. Mógłby już go bez problemu zabić. Chciał jednak usłyszeć, co Zbych ma jeszcze do powiedzenia, a miał do powiedzenia jeszcze dużo:

– Wiesz co? Miałem już se cię darować. Po krótkim pościgu wróciłem wraz z Pachem do naszej hacjendy, a tam niespodzianka! Pewien wyperfumowany jegomość oferuje mi dwieście złotych marek za twój zawszony, zakapturzony łeb. Nie wiem, co mu zrobiłeś i absolutnie mnie to nie obchodzi, ale musiałeś mu nieźle zależeć za skórę.

– Jak się nazywał?! – zapytał ostro Zygryd odwracając się błyskawicznie w stronę Zbycha.

Ten aż zamarł, przełknął głośno ślinę, lecz nie tracił fasonu.

– Nie przedstawił się, a ja go o godność nie pytałem. Nawet gdybym wiedział i bym ci powiedział. . . Po co nieboszczykowi taka wiedza?! Ha! ha! – zarechotał ponownie, lecz już nie tak przekonywująco.

– A, po co powiedziałaś mi to wszystko?! – ryknął mnich i rzucił się w stronę grasanta. Ten nie zdążył odpowiedzieć, nie zdążył sformować magicznej kuli, nie zdążył dobyć miecza.

Szpony Świętego Ptaka błysnęły księżycowym blaskiem i ze świstem przecięły powietrze. . . skórzaną kurtkę, otrzewną, trzewia. . .

Zbych runął jak ścięty z nóg. Przewrócił się na plecy. Oddychał ciężko, jelita wypływały z ran, ale jeszcze żył. Zygryd stanął nad nim przez chwilę zastanawiając się czy skrócić mu cierpienia. Podniósł rękę w ostatnim ciosie. Już, już miał ją opuścić, gdy ranny zacharczał przeciągle, zapłuł się mieszaniną śliny, krwi i żółci i skonał.

* * *

– Wreszcie! – wrzasnął Yorn, gdy mnich wychynął z ciemności.

– Co z nim?! – spytał Zygryd puszczać mimo uszu ryk niezadowolenia w wykonaniu brodatego.

– Nic! – stwierdził kobold szarpiąc się z dwoma ogierami, które zareagowały nerwowo na widok mnicha. Dwie kłacze trzymane przez Yorna wydawały się być spokojne. Na jednej z nich znajdował się Worn, pół leżąc, pół siedząc. Był nieprzytomny i chyba tylko dzięki jakiemuś głęboko zakorzenionemu instynktowi trzymał się bardzo mocno grzywy zwierzęcia, co nie pozwalało mu na bolesny upadek.

– Dziwnie wygląda jak na nic – dodał mnich patrząc na młodszego krasnoluda.

– Po prostu nie umie beczynnienie czekać. Z nudów uchlał się biedaczysko i tyle! – wytłumaczył Yorn.

– A co z Ayą i Asajem? Czekają czynnie w karczmie?

– Tak właśnie. O! Już idą!

– Dobrze, że już jesteś, bo inaczej oni też by padli – skwitował kobold.

– Taa! A teraz w drogę! Przygoda wzywa! Gościniec czeka! – ubijak uśmiechnął się szeroko i przy pomocy Avonuńczyka wgramolił się na konia.

– Przygoda? – westchnął mnich idąc w ślady krasnoluda.

Jemu nie było do śmiechu.

Rozdział 2

Pogoda dla bogaczy.

Z powodu niewielkiego wzrostu części drużyny, jechali po dwóch – człowiek i małolud. I tak Lijon jechał wraz z Aya, nadal nieprzytomny Worn z Asajem, a Yorn z Zygrydem. Obok nich szedł stępa przywiązany luzak, na którym znajdowały się wszelkie zapasy jada i piwa, jak również zdobycze bitewne – głównie broń i opancerzenie, które to partyja miała zamiar spieniężyć w najbliższym miasteczku.

Księżyc stał już naprawdę wysoko, a oni nadal jechali południowym duktem; tym samym, który zaczynał się w Pierwszej Twierdzy Bigolo, daleko na południu, u stóp wzgórz Uru; tym samym, który wykręcał przy karczmie bez nazwy by dążyć na północ, do ścieżki druidów, która to z kolei przecinała niewielki Zagajnik by spotkać się w końcu ze starożytnym gościńcem głównym.

Po lewej stronie rozpościerały się mroczne Jałowe Pola – pamiątka wielu krwawych bitew, które rozegrały się tu na przestrzeni tysiącleci. Po prawej, kilka mil od duktu, wyrastała mroczna ściana Lasu Wur; lasu, który niegdyś był siedzibą druidów – teraz stanowił główne źródło zaopatrzenia w drewno na całą Gawarię.

Cała partyja ubijaka wraz z Zygrydem jechała niespiesznie w milczeniu, bo choć wszyscy byli wprawnymi wojakami rzeź, jaką urządzili przed oberżą nie poprawiła im humoru.

- I co? Znalazłeś tego ostatniego kolesia, samego Zbycha chyba? – zapytał w końcu Yorn.
- Znalazłem – odparł beznamiętnie Avonouńczyk.
- I co?
- Nie żyje.
- Zakładam, że nie umarł na syfilis.
- Dobrze zakładasz mości krasnoludzie, a teraz skup się lepiej na tym, aby koń cię nie zrzucił – uciął rozmowę mnich.

Yorn nie podejmował już dalej. Wiedział, że dalsza rozmowa groziła upadkiem; gdyby nie zrzuciło go zwierze to mnich na pewno – słychać to było w jego głosie.

Znów jechali w milczeniu.

Sierpniowe powietrze przesycone było wilgocią. Było ciepło i duszno. Daleko na północnym wschodzie ciężkie, bure chmury przesłaniające gwiazdy zaczęły błyskać się złowrogo.

- Burza idzie – wydedukował Worn.
- Jest gdzieś nad Amon Tur. Mamy czas. Spokojnie zdążym do tawerny „Pod złotym sierpem”. Ino musimy zwierzaki lekko šturchnąć – powiedziała Aya odwracając się w stronę Zygryda jakby mówiła tylko do niego.

– Dobrze gada. Partycja w kłus! No, mości mnichu, szturchnij trochę to nasze leniwe klaczysko!
– zarządził Yorn.

Wszyscy usłuchali i po chwili wszystkie konie biegły już dużo szybciej. Mimo to krajobraz po obu stronach drogi nie począł się szybciej zmieniać, ba, on w ogóle się nie zmieniał. Na wschodzie cały czas widniał nieugięta ściana lasu, na zachodzie zaś – Jałowe Pola. Jedyne, co zaczęło się zmieniać w środkowogawarskiej panoramie to chmura burzowa, która rosła w oczach i z ogromną prędkością zbliżała się do południowego duktu. Asaj z Wornem, którzy jechali najbardziej z przodu zatrzymali gwałtownie swego wierzchowca.

– Coś tu nie tak! Ale ta burza pędzi! – ryknął chłopak z Bobrzego Lasu.

– Jest już gdzieś nad Zagajnikiem! Nie zdążymy przed nią do karczmy! – krzyknęła dziewczyna wpadając niemal na już stojących.

– Prrr! – rzucił Zygryd i także się zatrzymał.

– Cholera! Ludziska i nieludy, spierdalamy w las! – wrzasnął starszy krasnolud przybierając przy tym bardzo dziki wyraz swej kanciastej twarzy.

– Moment, moment! W las?! Pieruny najczęściej w las właśnie, w drzewa wałą! – zauważył i zaalarmował Avonouńczyk. Przez chwilę gotowy był do przejścia roli herszta bandy i nakazania partycji zostania na dukcie i kierowania się na obojętą „Pod złotym sierpem”.

– To, że trafi nas pierun jest mało prawdopodobne, mój mały, a to, że tu zmokniemy wielce prawdopodobne; powiedziałbym, cholera, nawet pewne! – rzekł Yorn, a głos jego przybrał na sile tak jakby wydobywał się nie z gardła, lecz z jakiegoś starożytnego, wielkiego rogu. Zygryd na powrót zrozumiał, kto tu jest szefem partycji i już nic nie powiedział.

Chmury były coraz bliżej. Usłyszeć było można pierwsze grzmoty. Powietrze, do tej pory ciężkie i leniwe ożywiło się nagle by zamienić się w silny hulający wiatr sypiący na około drobinkami piasku i przesywający niesamowitym, zaskakującym zimnem.

– Dalej partycja! W las! Chyżo! – zagrział długobrody krasnolud. Nikt się nie ościagał.

Pędzili jak mogli najszybciej; jakby nie przed burzą uciekali, lecz przed jakimś mrocznym zastępem demonów. Zygrydowi nawet, gdy raz zerknął przez ramię za siebie wydawało się, że wśród ciemnych kłębin majaczą ogromne sylwetki ponurych rycerzy i ich wierzchowców.

– A Neides keler emi em parase – mruknął odruchowo mnich.

– Cholera! Jeszcze trochę! – zawył Yorn.

Do pierwszych drzew Lasu Wur musieli pokonać już tylko dystans kilkuset jardów, jednak burza czy cokolwiek to było, skręciła za nimi na wschód i, co gorsza, doganiała ich. Konie rżały dziko. Przejmujące zimno bijące od chmury i niosące się wraz z wiatrem dopadło już konnych. Wokół nich wzniosła się straszna kurzawa. Prawie nic nie widzieli. Wiedzieli tylko tyle, że poruszają się w dobrym kierunku i że do lasu zostało jeszcze około dwustu jardów.

– To skurwysyństwo nie jest raczej zwykłą burzą – powiedział starszy krasnolud tuląc się do siwego karku klaczy, na której siedział.

– Raczej nie – rzucił Avonouńczyk popędzając jeszcze zwierzę.

– To znaczy, że ten las gównu nam da! – wrzasnął Yorn próbując przekrzyknąć oszalałą burzę walącą tuż za nimi grzmotami.

– Nie koniecznie. To jest las druidów. Święty las! Cokolwiek nas goni jest złe, a złe nie ma wstępu na świętą ziemię! – wrzasnął Zygryd urywając nagle, a kończąc to zdanie w myślach: „Jeszcze nie ma wstępu, jeszcze...”

– Oszalałeś?! Druidów w tym lesie nie ma od wieków! Cała świętość przepadła wraz z nimi, a nawet, jeśli coś by jej zostało to wątpię żeby nam wystarczyło!

– Musi – gdy mnich to powiedział byli już ze dwadzieścia jardów przed ciemnozieloną ścianą, lecz właśnie wtedy pędząca tuż za nimi ponura chmura ich dopadła.

– AAAAAA!!! – jęknął Asaj, gdy niesamowity lęk ścisnął go za serce.

Reszta była tak sparaliżowana strachem, że nie była zdolna nawet do tego. Niesamowicie zimno oblażyło ich ciała i wpełzło do ich wnętrza. Na około zrobiło się nagle bardzo ciemno, jakby gwiazdy i księżyc po prostu zgasły. Kurzawa się wzmogła, wicher wył przeraźliwie, nucąc jakby jakąś starą, zapomnianą pieśń; pieśń umarłych. Do tego lunął lodowaty deszcz, a gromy waliły ogłuszająco. Zygfyrd, oprócz swego pasażera nie widział nikogo z towarzyszy. Było za ciemno. Słyszał tylko jak głośno bluźni Lijon, jak Worn coś bełkocze, jak Aya prawie piszcząc próbuje ubłagać konia by ruszył do przodu i w końcu jak Asaj wrzeszczy:

– Zginiemy tu! Zginiemy!

Avonouńczyk przez chwilę sam w to uwierzył, lecz wtedy właśnie Yorn oderwał twarz od klaczy i wrzasnął przebijając się przez ryk wrogiej burzy jak i przez rżenie oszalałych zwierząt:

– Do lasu! Partyja do lasu! Na zabój! Do lasu!

Bez wątpienia potężny głos krasnoluda pokrzepił ludzi, lecz nie konie. Siwa klacz, na której jechali Zygfyrd i Yorn stanęła dęba zrzucając tym samym jeźdźców i pomknęła w sobie znanym tylko kierunku, ciągnąc za sobą luzaka z prowiantem i łupami.

– Oż cholera! – wrzasnął stary krasnolud, gdy znalazł się w powietrzu. – Oż kurwa! – wrzasnął, gdy znalazł się na ziemi.

Mnich bez problemu wyładował na nogach i ruszył do leżącego kilka stóp dalej, przeklinającego krasnoluda. Gdy wstał obydwaj ruszyli zgięci w pół, by chronić się przed wiatrem, w stronę bardzo bliskiego już lasu. Przed samym wejściem Yorn odwrócił się w stronę burzy i wrzasnął:

– Kto żyw! Daj głos!

Odpowiedział mu grzmot, jęk wiatru i coś, co brzmiało jak głuchy śmiech wydobywający się z wnętrza złowrogiej chmury.

– Chodź Yorn! Chodź do lasu! Tu nas nie dorwie! Nie może. Już to widać. Chodź! – ponaglał krasnoluda mnich. Długobrody spojrział raz jeszcze w ponure kłębowisko próbując je przeniknąć. Przez chwilę jeszcze nasłuchiwał. W końcu zrezygnowany ruszył za Zygfyrdem by po chwili zagłębić się w leśnym poszyciu.

* * *

Obudzili się o świcie, gdy pierwsze promienie słoneczne zamigotały między pniami.

Poszli spać nie długo po tym jak znaleźli się w bezpiecznym lesie. Mieli zamiar szukać swoich, lecz noc w lesie była jeszcze ciemniejsza, a mrok jeszcze bardziej nie przenikniony niż w chmurze. Postanowili, więc iść spać, a poszukiwania rozpocząć wraz z jutrzeńką.

– Co to do jasnej cholery było?! – spytał głośno ubijak opryskując moczem jedno z drzew.

– Albo demony, albo jakiś twór magiczny – odpowiedział mnich oddając się potrzebie fizjologicznej; tej samej, co krasnolud.

– A co to od nas mogło chcieć? – spytał ponownie Yorn, gdy już skończył podlewać stary, okazały dąb.

– Pewnie stanęliśmy mu na drodze; zupełnie przypadkiem – odpowiedział Zygfyrd, gdy i on skończył.

Skłamał. Z premedytacją.

– Może. Nie jest to teraz ważne. Musimy znaleźć resztę. Gdzie te ofiary mogły pójść?!

„Na tamten świat” – pomyślał Avonouńczyk, lecz nie miał zamiaru mówić tego na głos. Krasnolud, co było widać, nie dopuszczał do siebie nawet takiej myśli i gdyby mnich coś o tym wspomniał jak nic małowud by go ukatrupił. Zamiast tego tylko spytał:

– Jakie mamy opcje?

– Mogli udać się na północny wschód, przez las, do Gar Kat, osady drwali. Mogli też pójść do Wodnego Oczka lub do oberży lub...

– Lub mogą pałętać się gdzieś po lesie zachodząc w głowę gdzie my jesteśmy! – dokończył Zygryd lekko poirytowany.

– Cholera! Masz rację. Lepiej idźmy przed siebie; gdy dojdziemy do druidzkiej ścieżki, to wtedy pomyślimy.

– Dobrze. Idźmy.

* * *

Szli przedzierając się przez gęsto rosnące paprocie, wysokie, ostre jak brzytwa trawy, młode leszczyny i wszelkie możliwe krzacyska, które za punkt honoru obrały sobie jak najbardziej skuteczne przeszkadzanie dwóm podróżnym; wszczepiając się w ich ubrania, płacząc im nogi, kalecząc skórę. Mimo tego jednak podróżni kierowali się dalej, mozolnie na północ, nie zważając na uciążliwą florę.

– Partycja! Kto żyw! Do mnie! – nawoływał co jakiś czas Yorn, a głos jego niósł się po lesie niczym echo docierając chyba do wszystkich jego zakamarków. Nie dziwota, więc, że na efekt okrzyków nie było trzeba długo czekać.

– Yorn?! – wrzasnął w swój charakterystyczny, szczekliwy sposób Lijon ek Aka, po czym wychylił się zza kilku ciasno rosnących brzóz; dokładnie przed krasnoludem i Avonouńczykiem.

– Ach żeby cię cholera! Żywys?! – ryknął Yorn, gdy uścisnął przyjaciela.

– Jak widać! Wy też, więc ino Worna brakuje – wysapał kobold, gdy wyzwolił się z uścisku przywódcy.

– Ach! Zaraza z tym moim synem!

* * *

Kobold prowadził ich dalej na północ do małego obozu, który powstał przez noc. Wyjaśnił także, że cała reszta partycji nie poprzestała na dobiegnięciu do lasu, lecz biegła dalej póki starczyło im sił, to jest jakieś półtorej mili. Worn gdzieś się po drodze zgubił.

– Raczej nie powinna stać mu się krzywda – wywarczał Lijon łamiąc kilka gałązek leszczyny stojącej mu na drodze. – W las wszedł, a to najważniejsze.

– Żeby mu tylko nic w tej pustej łepety nie zagwizdało! – syknął ponuro krasnolud szczerze zmartwiony.

– Chyba aż tak głupi nie jest i w nocy z lasu nie wylazł; nie do chmury – próbował go pocieszyć mnich.

Yorn nic nie powiedział tylko spojrzął na Avonouńczyka znacząco i skinął w zadumie kilka razy głową. Zmarkotniał jeszcze bardziej.

– Chyba, że tak... Przepraszam.

„Po co taki w partycji?” – pomyślał.

Psolud nie chcąc rozwijać tematu o młodym krasnoludzie zaczął mówić o tym jak komendował podległą mu drużyną:

– Sikoreczkę wysłałem na północ by przeszukała część lasu i sprawdziła czy przy Oczku Wodnym nie ma może koni; Worna raczej nie spodziewałem się tam znaleźć. . .

– Boi się wody jak ognia – wytłumaczył Yorn.

– Asaja zostawiłem w obozie by na wszystkich czekał; pozwoliłem mu na ewentualne oddalenie się gdyby zobaczył przechodzący gdzieś nieopodal obiad. Ja sam postanowiłem ruszyć na południe w nadziei, że kogoś znajdę i jak widać nie myliłem się. Zdażyłem przejść kilkadziesiąt jardów, gdy usłyszałem twoje nawoływanie Yornie. Ja nie starałem się ci dorównać i nie zdzierałem gardła. Wolałem pójść za głosem, słusznie zresztą.

Skończył akurat, gdy wyszli na niewielką polanę z samotną sędziwą sosną rosnącą po środku. Kawałek dalej płonęło nieduże ognisko.

– To tu! – stwierdził Lijon ek Aka i począł rozglądać się za Asajem.

– Aya! – wrzasnął uradowany Yorn i podbiegł do północno – zachodniej krawędzi polany gdzie zza drzew wychynęła młoda dziewczyna prowadząca siwą klacz niosącą półprzytomnego Worna, jak i kilka tobołków oraz bukłaków.

– Co mu jest?! – spytał długobrody krasnolud dopadając konia.

– Krwawi! – spostrzegł kobold.

* * *

– To nic takiego! – zawołał Avonouńczyk, gdy położono rannego krasnoluda pod sosną.

W rzeczywistości Worn miał roztrzaskany goleń i mógłby kuleć do końca życia. . . Gdyby nie było avonouńskiego mnicha pod ręką.

– Moja szkatuła! – krzyknął Zygryd rozrywając zakrwawioną nogawkę.

Jego podróżna szkatułka wędrowała do tej pory razem z innymi bagażami na luzaku, który szedł obok Zygryda i Yorna. Teraz jednak wszystkie bagaże niosła, nie wiedząc czemu, siwa klacz. Mnich miał nadzieję, że także i jego szkatułę.

– Proszę – mruknęła Aya podając zawiniątko.

– Dzięki! – Avonouńczyk uwolnił małą drewnianą szkatułkę ze szmat, otworzył ją, przejrzał zawartość i po chwili wyjął niewielki flakon z szkarłatnym płynem. – Święta Woda z Kerha – wyjaśnił mnich.

– Urwicie mi trochę mniszków i jedną jemiołę, o ile komuś zechce się po nią wspinać – dodał przyglądając się dokładnie ranie.

Wyglądała naprawdę paskudnie – z krzepkiej nogi małoluda wystawały dziesiątki drobnych fragmentów zmiażdżonej i pokruszonej kości piszczelowej, które to uczyniły ogromne spustoszenie w okalającej kość tkance mięśniowej. Ciemnia krew sączył się z rozerwanych żył. Bez odpowiedniej opieki krasnolud, w najlepszym wypadku, zostałby kuternogą. Zygryd przeniósł wzrok na twarz rannego. Worn chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co mu się przydarzyło. Leżał zupełnie nie przytomny. Resztki świadomości musiał utracić zaraz po tym jak zdjęto go z konia. Lekko się uśmiechał jakby śnił mu się jakiś zabawny i najprawdopodobniej głupi sen. Mimo to Avonouńczykowi zrobiło się przykro. Przez chwilę myślał o Wornie wyłącznie jako zbędnym balaście, nie pasującym zupełnie do partyji ubijaka. Teraz patrząc na twarz pogrążonego w błogim śnie krasnoluda Zygryd cieszył się, że może mu pomóc, jednocześnie w jakiś sposób oczyszczając samego siebie.

– Przepraszam – mruknął wylewając na ranę jedną drugą zawartości flaconu.

Intensywnie czerwony płyn przelewał się między drobinami kości i rozdartymi mięśniami kierowany magicznymi płynami w taki sposób, że ani kropla nie wypłynęła poza brzegi rany.

– Oż ty w morde! – krzyknął Lijon ek Aka podając mnichowi szyszak pełen zielonych, poszarpanych liści.

– Święta Woda najpierw dokładnie obmyje ranę, a później wsiąknie budząc lecznicze działanie. Do jutra powinno się zagoić.

Zygfryd począł okładać nogę krasnoluda liśćmi zebranymi przez kobolda.

– Co z jemiolą?

– Aya zara przyniesie. Co chcesz z niej zrobić? Wywar? Przecież nie mamy żadnego kociołka.

– Pomoże przytrzymać opatrunek, mości Lijonie, a poza tym bacz na to, że jest to jemiola z druidzkiego lasu. Nie potrzebuje wywaru by leczyć; szczególnie z Kerhańską Wodą w duecie.

– A kiedy się ocknie?! – wtrącił się Yorn.

– To już nie zależy ode mnie – Avonouńczyk mimowolnie się uśmiechnął.

– Jak wytrzeźwieje! Wali od niego piwskiem jak cholera! – rzucił psolud.

* * *

Gdy opatrunek z jasnozielonych mniszków i ciemnozielonych łądyżek był gotowy cała drużyna (z wyjątkiem Asaja, który pokazał się tylko na chwilę by dalej zaszyć się w lesie w poszukiwaniu zwierzyny na rożen) rozsiadła się wokół ogniska. Aya opowiadała:

– Znalazłam go przy Wodnym Oczku. Leżał przy koniach.

– Koniach?! – zdziwił się kobold.

– Ta. Przy koniach. Obok tej siwej klaczy leżał jeszcze ten ogier z naszymi rzeczami. Spalony jak skwarek.

– Pierun go trafił?! – ktoś spytał.

– Nie wiem. Chyba tak. Wiem tylko, że nic podobnego do tej pory na oczy nie widziałam.

– To nie pierun – oznajmił Zygfryd. – Gdyby tak było, spłonęłyby też nasze bagaże, a i siwka byłaby poparzona. Jeśli oczywiście koń spłonął na skwarek.

– Na skwarek, jakem mówiła!

– Jak nie pierun to co?! – spytał Yorn. Spojrzał znacząco na mnicha.

Avonouńczyk wzruszył ramionami i rzucił:

– Na pewno nie pierun.

Rozmowa była skończona.

* * *

Następnego ranka, gdy Worn okazał się być zupełnie sprawny, partyja ruszyła w dalszą drogę. Kierowali się, na tak zwaną, Bramą Pokoju, która była reliktem starożytnej fortecy strzegącej niegdysiejsze granice Avonou. Dziś na budowie składały się jedynie dwie niewielkie baszty, no i przejście bramne, przez które trzeba było przejść, jeśli chciało się legalnie dostać do okręgu stołecznego Gawarii, czyli również, między innymi, do Belerza i Molchiał.

Pogoda była ładna. Wiał ciepły, lekki wiar, a po błękitnym niebie z rzadka przesuwały się leniwie małe, postrzępione obłoki.

Wyglądało na to, że już nic nie stanie im na drodze. . .

* * *

– Jak to nie przejdziemy?! – ryknął ubijak zadzierając głowę do góry i mrużąc oczy.

– Ano tak, że nie! – krzyknął żołnierz wyzierający zza blank jednej z baszty Bramy Pokoju.

– Ale czemu nie?!

– Bom ogień widział!

– No nie, to pewnie jakieś ognisko było!

– Dupa blada! Nie przejdziecie i już!
– Niech cię cholera! Na około przejdziemy!
– Nie radzę! – między sterczynami śmignęła napięta kusza. – Z resztą bez naszego glejtu do żadnego miasta nie wejdziecie!
– No nie! – zawył Zygryd. – To co mamy robić?!
– Zawrócić! – rzucił drugi żołnierz siedzący nad samą bramą, to jest, ogromnym łukiem pokrytym reliefem przedstawiającym stylizowane gołębie.
– Zawrócić?! To nam, kurwa, trochę nie po drodze! – Yorn zaczął się irytować.
– To nie nasz problem! – rzucił trzeci żołdak pojawiając się w wąskim oknie wieży.
– Panowie, poważnie. O co chodzi?! – zapytał spokojnie Lijon. – Przecież nie o to ognisko!
– No dobra! Nie chodzi o ognisko! Po prostu wasze ryje nam się nie podobają! – krzyknął ten stojący na krenelażu. Pozostali dwaj zarechotali.
– Chędożyć was! – syknął długobrody krasnolud załamując ręce.
– I co teraz? – spytał zrezygnowany Asaj. – Przecież ich nie wyrzniemy.
– Nie mam pojęcia – ktoś fuknął.
Stali w milczeniu nie wiedząc co robić. Mężczyźni siedzący w Bramie zupełnie ich ignorowali pogwizdując z cicha.
– Ile? – rzucił mnich po chwili namysłu.
Przez chwilę nie było odpowiedzi. Żołdacy gdzieś zniknęli i cicho się naradzali.
– To zachłanne bestie. Wątpię byśmy mieli satysfakcjonującą ich sumę – parsknął Lijon chodząc bezmyślnie w kółko.
– Pięćset złotych marek! – krzyknął jeden z żołnierzy wychylając się z wąskiej szczeliny będącej oknem. – Za pięćset spokojnie przejdziecie, dostaniecie glejt i wszystko będzie cacy, a za tysiąc powiemy nawet, kto zapłacił by was nie przepuszczać! – uśmiechnął się szeroko. Widać było, że był niezmiernie zadowolony ze swego chytrego i bardzo prominentnego planu. . . Zygryd nie podzielał jego optymizmu. Miał przeczucie, że w zaistniałej sytuacji zarobi jedynie przedsiębiorca pogrzebowy.
– Daj pokój – rzucił szeptem Yorn, gdy usłyszał charakterystyczny dźwięk wysuwających się armaneidowych ostrzy. Mnich spojrzął na krasnoluda, skinął głową i ostrza się schowały.
– A za ile dacie się wychędożyć?! – krzyknął kobold nie kryjąc pogardy.
Nie było odpowiedzi.
– I coś cholera narobił?! Teraz i za dwa tysiące nie przejdziemy. Czasami zachowujesz się jak gówniarz! – Yorn skarcił psoluda. Ten wzruszył tylko ramionami.
– Halo! Jest tam kto?! – krzyknęła Aya zadzierając głowę do góry. – Halo! Przepraszamy!
– Spieprzajcie stąd! – usłyszała w odpowiedzi stłumiony głos jednego z żołnierzy.
– I to szybko! – dodał nieoczekiwanie Asaj, który od jakiegoś już czasu wpatrywał się w coś na południu.
– Oż cholera! – jęknął ubijak podążając wzrokiem w stronę, w którą patrzył chłopak. Zobaczył pędzącą tuż nad ziemią burą chmurę. Wewnątrz niej coś skrzyło się złowrogo, przekreślały się ciemniejsze kształty.
Powietrze przeszył huk.
– I co teraz?! – w głosie Ayi dźwięczała panika.
Worn zakwilił niezrozumiale.

– Musimy dostać się do Bramy! – krzyknął Avonouńczyk. – Konia przywiążcie do pachoła pod łukiem! Może przeżyje.

– Wpuście nas! – wrzasnął Asaj ku wierz.

– Do kurwy nędzy, wpuście! Zapłacimy! – Lijon czuł jak futro jeży mu się na kręgosłupie.

Chmura była coraz bliżej. Nagły podmuch wiatry poderwał z ziemi piach, poraził zimnem.

– Wpuście nas! – cały czas krzyczał Lijon dobijając się już teraz do szerokich drzwi jednej z baszt. – Wpuście skurwysyny!

W końcu zadziałało i drzwi lekko się uchyliły.

– Dobra. Włażcie – rzucił krępy typ o kilkudniowym zaroście na paskudnej twarzy.

Partycji nie trzeba było namawiać. Wpadli do środka.

* * *

Siedzieli w małej, przesytej kręconymi schodami sali, nie wiedząc za bardzo co robić. Zadki marzły na gołej, kamiennej posadce; kości drętwiały; serca łomotały. Na zewnątrz szalał magiczny żywioł wyjąc i strzelając. Mnich skulony mamrotał coś do siebie. Nagle odchylił się do tyłu zarzucając gwałtownie głową.

– Co z nim?! – syknął jeden z żołnierzy.

* * *

Emanował mdłym światłem. Nie widział za wiele. Szedł czarnym, granitowym mostem zawieszonym w próżni; ciągnącym się chyba w nieskończoność. Na około fruwały dziwne, ptakopodobne stwory furkocząc błoniastymi skrzydłami i rozwierając dzioby w niemym krzyku. Nie wyglądały groźnie, lecz mimo to armaneidowe ostrza wysunęły się, nie z elipsoidalnych korpusów, lecz ze ścięgien śródreżca, brutalnie zastępując palce. Krew z rozerwanych tkanek trysnęła strumieniem. Mnich szedł nadal powoli przed siebie. Widział krew; nie czuł bólu. Wiedział, że jest to tylko mentalna projekcja jego osobowości. Przechodził przez to już wiele razy. Wiedział jak wygląda; ostrza były jego palcami; habit – jego skórą; cień kaptura zaś – jego twarzą. Znał to. Znam to doskonale. Uczono go wiele razy, że będzie musiał stawić czoło siłom, których nie da się unicestwić metalem czy szybkim ciosem. Musiał wtedy przeniknąć do niematerialnego świata by istnieć tam dzięki swojej woli, wierze i wyobrażeniom. Ćwiczył to wiele razy polując na niegroźne duchy i demony.

Teraz jednak musiał stawić czoło czemuś o niebo potężniejszemu i za bardzo nie wiedział jak będzie to przebiegało. Miał nadzieję, że przeżyje...

Ptakopodobny stwór śmignął tuż przed twarzą mnicha pikując gwałtownie w dół jakby przed czymś uciekając. Gdzieś w oddali rozległ się ryk. Powietrze wypełnił swąd zgnilizny i błota.

Zygfyrd przyspieszył kroku.

* * *

– Co z nim?! – Aya próbowała przekrzyczeć ryk szalejącej burzy.

Nikt jej nie odpowiedział. Wszyscy przykleili się do zimnych ścian baszty i z zamkniętymi oczyma modlili się o swe życia. Zygfryd leżał nieprzytomny. Dziewczyna nie mogła ocenić, w jakim jest stanie gdyż kaptur zaciągnięty na twarz skutecznie to uniemożliwiał. Chciała do niego podejść, lecz wtedy przez wąskie okna wdarł się do środka gwałtowny podmuch. Kurz, piach, drobne części potłuczonej ceramiki leżącej na posadce targnięte zostały w górę by zawirowały w szaleńczym tańcu. Aya zamarła.

Dopiero co powstała mała trąba powietrzna przetoczyła się po sali, próbując oderwać stojących od ścian. Na zewnątrz z przeraźliwym hukiem trzasnął grzmot.

– Aaa! – zawył Asaj czując jak potężna siła ciągnie go do siebie.

* * *

Mrożący krew w żyłach ryk dobiegał go zewsząd. On wiedział jednak, że musi iść przed siebie. Posuwać się naprzód. Wiedział, że w tym świecie jest tylko przód i tył; dążenie do czegoś lub wycofywanie się. Nic więcej. Inne kierunki nie miały znaczenia. Nie w świecie nie materialnych demonów; nie dla intruza.

– Ukaż się! – krzyknął mnich, a krzyk jego był tak donośny jak wszędobylski ryk panującej tu bestii. Teraz wiedział, że jest równie potężny jak to, co przyszedł zniszczyć; jego wola; jego dusza.

– Ukaż się! – powtórzył, tym razem pewniej i jeszcze donośniej.

Ryk zamilkł. Powietrze zawibrowało. Nagle, tuż przed mnichem nicość wypluła z siebie wielki, czarny, falujący kształt. Smród mokradeł uderzył z dwojoną siłą odurzając swoją intensywnością. Mentalne mięśnie mnicha drgnęły; nie cofnął się jednak nawet o krok. Wiedział, że gdyby to zrobił byłby zgubiony.

Falująca, niekształtna masa przelewając się niczym gęsta smoła poczęła przybierać konkretniejszą formę. Po chwili demon wyglądał jak czarny, potężny, ciężkobrojny rycerz zrosnięty nogami ze swym wierzchowcem. Za mroczną przyłbicą tliły się dwa trupio białe ogniki.

– Czego ode mnie chcesz?! – spytał mnich próbując przewiercić wzrokiem twarz górującego nad nim upiornego jeźdźca.

– Krwi! – ryknął demon i rzucił się na Avonouńczyka.

Zygfyrd spodziewał się takiej reakcji, lecz i tak nie zdążył zareagować. Jego przeciwnik był za szybki. Wpadł na mnicha niczym taran kierując na niego całą swoją siłę i nienawiść. Zygfyrd targnięty jak szmaciana lalka, poleciał daleko do tyłu.

* * *

Palce ślizgały się po mokrych od potu kamieniach. Serce waliło jak opętane. Przerazające wycie wiatru zagłuszało wszystko. Asaj nie słyszał nawet swego krzyku, gdy potężna siła odrywała go od ściany baszty. Całą swoją wolą próbował ustać. Trąba powietrzna szarpała go i kuła inwentarzem, który zdążyła już zedrzeć z innych. W końcu chłopak poddał się i runął w wir jęcząc i skowycząc.

Trąba powietrzna nie poprzestała na nim i skierowała się na jednego z gawarskich żołnierzy.

Ten uderzony wirującym Asajem niczym potężnym młotem stracił przytomność i bez walki padł w ramiona żywiołu szalejącego w opętanym tańcu.

Po chwili wszyscy – nawet bezwładne ciało mnicha – wirowali zgodnie z wolą burzy, uderzając się nawzajem, kalecząc, wpadając z impetem na ściany.

Trąba powietrzna stała się trąbą ciał i krwi.

* * *

Mnich widział już przed oczyma mijaną granitową krawędź mostu, kiedy, w ostatniej chwili wbił w twardy kamień swe palce – ostrza. Zawisł na nich na moment by podciągnąć się z powrotem na most.

Gdyby spadł leciałby w niezmiar próżni, w nieskończoność.

– Nie pokonasz mnie! – krzyknął, jeszcze zanim się podniósł.

Demon nie przejął się tym za bardzo i ruszył powolnym, dostojnym krokiem w stronę Avonouńczyka. Zygfyrd poderwał się błyskawicznie i szykował się do zrobienia uniku przed kolejną szarżą, gdy nagle jego mentalne ciało wybuchło dziesiątkami małych wulkanów krwi. Mnich przez chwilę stał się jednym wielkim zbiornikiem bólu i krzyku przyjaciół. Padł na kolana jak ścięty z nóg. Zawył żałośnie.

Demon zaskowyczał tryumfalnie i przyspieszył kroku. Jego oczy, choć takie niesamowite i martwe emanowały nie ukrytą radością. Kilka ptakopodobnych stworów wyczuwając już niechybne zwycięstwo swojego pana wychynęło z ciemności i zafurkotało nad jego głową; utrzymując jednak bezpieczną odległość.

Mnich jednak nie miał zamiaru się poddawać, tym bardziej, iż wszędobylski krzyk i ból zaczęły przemieniać się w potężną moc, chcącą niemal rozsadzić jego mentalny organizm.

Moc ta musiała znaleźć ujście. . .

Zygfyrd poderwał się gwałtownie i, krwawiąc, runął na przeciwnika. Oślepiające światło wystrzeliło z jego ust; z jego oczu, nozdrzy, ran. Snopy światła rozproszyły ciemność, poleciały w pustkę, a te, które natrafiły na czarnego jeźdźcę przebiły go sykiem, jaki wydaje kawałek słoniny rzucony na rozgrzaną patelnię. Demon zawył przerażająco. Ptakopodobne stwory latające nad nim, do tej pory nieme, zaskrzeczały żałośnie i ruszyły, co sił w swoich błoniastych skrzydłach, gdzieś przed siebie, skwiercząc i dymiąc. Umierając.

Ostatecznie.

Demon również dokonywał już swego niematerialnego żywota, szarzejąc i niknąc.

Zygfyrd wiedział, że to już koniec. Stał na moście. Zwycięski. Światło już nie wypływało z jego ciała. Krew tak. Musiał wrócić. Czuł niepokój.

Odwrócił się za siebie. Dał krok – to wystarczyło.

* * *

Zaraz po obudzeniu zachłysnął się krwią. Krztusił się przez chwilę i z trudem łapał oddech. Ból wypełniał całe jego ciało, szczególnie dręcząc klatkę piersiową i płuca. Nie był nawet pewien czy aby na pewno powrócił do materialnego świata. Widział białą plamę. Nic nie słyszał. Czuł zmęczenie.

Ból i zmęczenie.

Chciało mu się spać.

* * *

Minęło wiele dni zanim obudził się kolejny raz. Dni te upłynęły w spokoju. Leczony przez swe medykamenty, cudem ocalałe chyba, jak i przez opiekujących się nim – najpierw Yorna, a później zaś przez białego maga – Pankracego.

Część tych dni, choć Avonouńczyk nie ma prawa tego pamiętać, spędził na wozie zaopatrzeniowym, który przyjechał akurat do Bramy po konfrontacji z burzą i demonem. Na wozie tym obok Zygfyroda leżeli w podobnym jak on stanie: Aya, Asaj, Lijon i dwóch gawarskich żołdaków, z czego jeden z nich był w odrobinę gorszym niż reszta stanie – nie żył. Mnich jednak nie miał o tym nawet zielonego pojęcia. O niczym nie miał pojęcia. Nawet nie śnił.

* * *

Zygfyrd otworzył oczy. Było jasno. Leżał nagi na wygodnym łóżku; jego dłonie spoczywały luźno – pozbawione Kear Mai – na miłej pościeli. Znajdował się w małej, prawie pozbawionej mebli izbie, po której z miotłą w rękę krzątał się niski uśmiechnięty staruszek. Miał on długie, sięgające aż do pasa, śnieżnobiałe włosy jak i równie białą i równie długą brodę. Czasami niemal

jego twarz znikąca z oczu Zygryda, gdy wtapiał się w biel wybielonych wapnem ścian. Na szczęście wyróżniały go czarne i purpurowe, jedwabne szaty, którymi równie dobrze jak miotłą zamiatał posadzkę.

Przez uchylone okno w raz z promieniami słonecznymi do izby wpadał również gwar miasta i zapach smażonki. W pokoju, w którym leżał dominował jednak odurzający zapach miodu i bzu.

Mnich uniósł się na łokciu i zmrużył oczy by przyjrzeć się sprzątajacej postaci.

– Pankracy? – rzucił po chwili niepewnie.

Staruszek odwrócił się w stronę leżacego, uśmiechnął się szeroko i podszedł do łóżka.

– Śpij chłopcze. Jeszcze śpij – mruknął.

Mnich spojrział w niesamowicie błękitne, tchnące spokojem oczy starca i rzekł:

– To ty Pankracy. Jak to dobrze. W końcu dotarłem. Gdzie jesteście? W Molchiał?

– W Belerzu mój chłopcze, Kear Vassnes. W Belerzu.

– Jak... – Zygryd chciał dowiedzieć się coś więcej, lecz wtedy Pankracy – avonuński mag wykonał gest jakby ściągał coś z twarzy mnicha i rzucił miękko:

– Śpij. Wszystko będzie dobrze. Uratowałeś życie swoim przyjaciołom, jeśli chcesz wiedzieć.

Dzięki tobie nic im nie będzie. A teraz śpij.

– Ale... – mnich próbował zwalczyć z nagłym przypływem senności i błogiego zmęczenia.

– Śpij – powtórzył mag powtarzając również gest.

Zygryd mimo oporu opadł na poduszkę.

Cdbn...¹

¹Ciąg dalszy być może nastąpi ;)